

Rozmawia Artur Zaborski

Tytuł każdej książki z serii poświęconej Saszy Zatuskiej zawiera odniesienie do żywiołu. Dlaczego?

– Ma to związek z chińską filozofią. Każdy żywioł nawiązywał nie tylko do zagadki i kryminalistycznych działań policjantów, ale też do przestrzeni zmysłowej. Chińczycy wierzą, że po przejściu traumy – a tak było w przypadku Saszy – trzeba przejść również przez cztery żywioły, aby się odrodzić. Pamiętam moment po napisaniu „Okularnika”, czyli drugiego tomu serii, kiedy pojechałam pociągiem na spotkanie autorskie do Łodzi. Wsiadłam na dworcu i zauważyłam spadające z nieba czarne płaty. Wyglądały jak śnieg z „Krainy Lodu”, tyle że były czarne.

Co to było?

– Zapytałam o to kierowcę taksówki, a on niewzruszony odpowiedział, że fabryka klejów i lakierów na Dąbrówce się zhajcowała i coś takiego pada od trzech dni. „Jak to się zhajcowała?!”. A taksówkarz: „Normalnie, cały czas się pali”. Dojechalśmy do ulicy Tuwima. Stoi tam monumentalna, cudowna kamienica – wtedy była cała czarna po pożarze. Kierowca spojrzał na mnie i powiedział: „Jak panią te pożary tak interesują, to ja mam tutaj za rógiem rękaw strażacki, bo cały czas coś gaszą, cały czas coś się pali”. Myślę sobie: „Boże, co tu się w ogóle dzieje?”. Taksówkarz zaczął mi opowiadać, że jest to taka łódzka tradycja, o której już Reymont pisał w „Ziemi obiecanej”: jeżeli nie możesz poradzić sobie z prowadzeniem biznesu, spal go, a ubezpieczalnia zapłaci. To taki rodzaj lokalnego kolorytu.

I pani już pewnie wiedziała, że to świetny wątek do książki.

– Dojechałam do empiku na spotkanie autorskie, a były to czasy, kiedy przychodziły na nie tłumy. Poruszyłam temat opadów z mieszkańcami, zapytałam, co się w tej Łodzi dzieje. Mimo że na miejsce akcji serii zaplanowałam zupełnie inny region – chciałam osadzić ją na Podkarpaciu – i miała to być zupełnie inna historia, w tamtej chwili zdecydowałam się na zmianę. I stąd mamy trzeci tom serii „Cztery żywioły”, czyli „Lampiony”, ogień.

Pisanie jest nałogiem

Jest taka łódzka tradycja, o której Reymont pisał w „Ziemi obiecanej”: jeśli nie radzisz sobie z prowadzeniem biznesu, spal go, a ubezpieczalnia zapłaci



KATARZYNA BONDA

– najpopularniejsza autorka powieści kryminalnych w Polsce. Na podstawie jej „Lampionów” powstał serial „Żywioły Saszy”, który można oglądać w Playerze

Zawsze pani tak reaguje na sygnały od rzeczywistości?

– Wychodzę z założenia, że kiedy osadza się fabułę blisko realnego świata, a ja swoją osadzam zawsze w istniejących miejscach, to warto szukać elementów łączących fikcję z tym prawdziwym światem. Nad książką pracowało mi się bardzo dobrze. Pożary, które wydarzają się w „Lampionach”, zagadka, którą rozwiązuje Sasza, podpalacz i masa innych ludzi, łącznie z deweloperami,

Historie zawsze biorą się z nadmiaru emocji i potrzeby ich przepracowania.

k którzy mają tam swoje interesy, są zahaczeni w łódzkiej rzeczywistości. Poza tym szczerze przyznaję, że zawsze chciałam coś podpalić, a taka książka mi na to pozwoliła.

Zhajcowała pani coś w Łodzi?

– Nigdy bym się nie odważyła, bo bałabym się, że mogę komuś zrobić krzywdę. Na szczęście pisarz dysponuje mocą fabuły i wyobraźni. A przy okazji może opowiedzieć szerszą historię.

Karty powieści stają się substytutem tych emocji i pragnień, na które nie do końca może sobie pani pozwolić w prawdziwym życiu?

– Jak najbardziej! Myślę, że sprawa wygląda tak samo u wszystkich pisarzy, nie tylko twórców powieści kryminalnych – w gruncie rzeczy historie zawsze biorą się z nadmiaru emocji i potrzeby ich przepracowania. Jest to oczywiście podświadomy proces, w związku z tym nie chodzi o to, że chciałam teraz kupić kanister benzyny i dokonać eksplozji lub stworzyć koktajl Mołotowa. Ale w momencie, w którym zapisuję historię, następuje we mnie pewne oczyszczenie z emocji. Wielokrotnie sama nie zdawałam sobie z tego sprawy i dochodziłam do takiego wniosku po wielu latach, np. czytając fragmenty swoich powieści na spotkaniach autorskich. Uświadamiam sobie wówczas, na jakim etapie życia byłam podczas ich pisanie i ile te książki o mnie mówią.

Czy w ten sposób nie obnaża się pani przed czytelnikami?

– To bardzo bezpieczne, bo nie mówię tego wprost, nie są to bezpośrednie historie o mnie, jedynie

zasilam je swoimi emocjami. Dotyczy to nie tylko niskich odczuć, takich jak nienawiść, wściekłość, gniew, czyli wszystkich elementów związanych ze sprawcą. Emocje uwydatniają się przede wszystkim w głównym bohaterze, czyli w naszym wojowniku o dobro. Podążając za fabułą, sama mam okazję się wzmocnić. Przeżyć te przygody i wyjść z nich cało. Dlatego jest to tak oczyszczające i dlatego pisanie jest nałogiem. Kiedy napiszesz jedną książkę, piszesz kolejną, chcesz przeżyć to jeszcze raz. I za każdym razem wygrasz, zło zostaje ujawnione, nawet jeśli sprawca nie dostaje kary, na którą zasłużył.

Czy kryminał nie polega właśnie na tym, żeby ujarzmić zło, pokonać je?

– Czasy takich kryminałów już minęły. U Agathy Christie mieliśmy jednego antybohatera, którego koniec końców aresztowano i tym samym eliminowano zło. W dzisiejszych czasach powieść kryminalna przypomina stopniowe spuszczenie powietrza. Balans zostaje jednak przywrócony, ponieważ samo ujawnienie zbrodni, ukazywanie niegodziwości i winy człowieka stanowi *katharsis* nie tylko dla czytelnika, ale i dla autora.

Czyli żeby oczyścić się z emocji, najlepiej chwycić za pióro?

– Trochę przed tym przestrzegam, bo trzeba mieć wielki dar, żeby móc pisać o sobie. Robiąc to, cały czas piszemy jedną i tę samą książkę. Natomiast gdy sami wymyślamy i stwarzamy na nowo fikcyjnych bohaterów, staje się to zabawą i gimnastyką

Mam swój udział w rynku wydawniczym już od 17 lat i wiele widziałam.

umysłową. Zasilanie emocjami między wierszami jest dla nas paliwem, terapią. I jest to bezpieczne. Jeśli spojrzysz pan na życiorysy większości pisarzy i innych ludzi opowiadających historie, zauważysz pan, że biorą się one z kryzysów, które dany człowiek przeżył. Zawsze znajdzie pan element i moment, który skłonił kogoś do podjęcia decyzji, że właśnie o tym napisze. Żeby coś stworzyć, trzeba w samym sobie znaleźć odwagę. Dlatego ludzie często obnoszą się ze swoimi debiutami – mają

świadomość, że jest to bardzo ekshibicjonistyczne przeżycie. Wiedzą, że wszyscy zaraz odkryją, co czuje autor. To tak jakby wyłożył pan wszystkie swoje emocje, myśli, serce i duszę na stół. Wtedy każdy może je obejrzeć, mało tego, każdy może je skrytykować. I ma do tego prawo.

Jak pani sobie radzi z tymi konfrontacjami i krytyką?

– To do tej pory jest trudne, z tego się nie wyrasta. Za każdym razem, kiedy piszę książkę, bliscy mi ludzie wiedzą, które z fabularnych elementów są tymi rzeczywistymi. Prawda przewija się między wierszami. Dla obcego czytelnika, który zna mnie tylko ze spotkań autorskich czy wywiadów, jest to trudniejsze do prześwietlenia. Wierzę jednak, że jeśli ktoś lubi czytać moje opowieści, to nie chodzi mu tylko o zainwestowanie kilkudziesięciu złotych, ale bardziej o poświęcony mi czas. Bardzo intymny – opowiadam historię na ucho, bez świadków. Jest inaczej niż w przypadku serialu czy sztuki teatralnej, tam mamy publiczność. A tutaj jestem ja i pan, jak na randce. Dlatego wierzę w istnienie intymnej więzi między czytelnikiem a autorem. I dlatego ludzie przyzwyczajają się do sposobu zapisu konkretnego twórcy, jednego lubią, innych nie.

Idąc tym tropem, można zaryzykować stwierdzenie, że jeśli ktoś nie lubi pani pisanie, to nie polubiłby i pani...

– Bardzo możliwe, że jeśli ktoś nie lubi moich książek, jeżeli go nudzą lub denerwuje go główna bohaterka, to tak samo stałoby się podczas rzeczywistego spotkania ze mną. Jest to niesamowite zjawisko, które działa w obie strony. Mam swój udział w rynku wydawni-

czym już od 17 lat i wiele widziałam, wiele razy zmieniałam sposób zapisu i postrzeganie fabuły, a wraz ze mną urosli czytelnicy. Dźwigali oni wszystkie moje literackie eksperymenty, co wytworzyło między nami więź. Dlatego darzę ich ogromnym szacunkiem i zawsze powtarzam, że jestem, ponieważ są i oni. Nie ukrywam, że nie chciałam pisać dla trzech osób i pozostać niezrozumianą. Wręcz przeciwnie, jestem dumna z tego, że na podstawie moich powieści „Żywioty Saszy” powstał serial dla ▶

► Playera, że są one tłumaczone na obce języki. Że proponuję ludziom zupełnie inne podejście do gatunku, tak jakbym mówiła, że mam dla nich niespodziankę, a oni się z tego cieszą. To tak, jakbym tworzyła swój własny świat. Z natury jestem nieśmiałą osobą, książki piszę w domu przy małym komputerku, ale moment, w którym powieść staje się publicznie dostępną, jest dla mnie najpiękniejszy.

Nawet gdy trafiają się malkontenci?

– Po tylu latach nauczyłam się wyciągać wnioski z krytyki, z nieprzychylnych słów, ponieważ są one prawdziwe. W rodzinie ma pan ludzi, którzy kochają i będą pana akceptować zawsze. Dlatego rzadko kiedy powiedzą: zrób to inaczej, zmień to. Jeżeli kobieta kocha mężczyznę, będzie znosić jego wąsy, nawet jeśli ich nie lubi. Natomiast wróg nie przepuści okazji, żeby nam dopiec. Należy umieć odczytać to w taki sposób, żeby krytyka stanowiła dla nas lekcję. Ja się tego nauczyłam i jestem za to bardzo wdzięczna. Czasami robię sobie sesje czytania negatywnych opinii na temat moich książek – zaglądam tam, gdzie dostały mało punktów. To jak wchodzenie na ring.

Brzmi jak masochizm.

– Raczej działanie wywiadowcze...
...do którego trzeba mieć twardą skórę. Opinie, zwłaszcza internautów, bywają okrutne.

– Sprzedając miliony egzemplarzy książek, trzeba liczyć się z tym, że na 3 mln zadowolonych odbiorców przypadnie 1 mln niezadowolonych.

Cały czas mam wrażenie, jakbym była na wojnie. I to poczucie każe mi być czujną.

Wielu ludzi po prostu lubi krytykować. Są wściekli i jest to zupełnie naturalne. Krytyka często wynika z faktu, że sami chcieliby coś zrobić, ale z pewnych przyczyn nie mogli. Przez te 17 lat widziałam na rynku wiele przetasowań. Wielu ludzi, których mogłabym nazwać moimi hejterami, dawno już na nim nie ma. W sieci nic nie ginie, a ja od zawsze miałam zainstalowany monitoring mediów – zawsze wiedziałam, kto, co i gdzie na mój temat napisał. Śledziłam komentarze na Facebooku, Twitterze. Byłabym głupia, gdybym tego nie

robiła, bo trzeba wiedzieć, jak jest się odbieranym. Chociażby po to, żeby nie bratać się z wrogami. To trochę taka sztuka wojny. Po kilku latach ktoś, kto wcześniej mnie krytykował, może przyjść i udawać przyjaciela. Słowa się zmieniają. Taka osoba udaje, że nie pamięta wcześniejszych, złych, a może po prostu nie miały one dla niej znaczenia. Czasami w życiu tych

Wraz ze mną urosli czytelnicy. Dźwigali wszystkie moje literackie eksperymenty.

ludzi nastąpił pewien proces i faktycznie się zmienili, a wraz z nimi ich narracja. Wcześniej mogli nie być gotowi na moją opowieść, na przyswojenie pewnych danych.

A być może przez te 17 lat zmienił się kontekst pani literatury?

Na początku była pani jedną z nielicznych kobiet, które osiągały sukcesy na rynku wydawniczym, miały własny styl i szły pod prąd tendencji. W ciągu lat dołączyły do pani kolejne autorki, razem oswoiłyście ludzi z kryminałem pisany przez kobiety.

– Jeśli ktoś idzie jako pierwszy, bierze maczetę i zaczyna karczować puszcę, to musi mieć na uwadze, że droga będzie niebezpieczna. Następnym osobom będzie już łatwiej. Moja twórczość kiedyś bulwersowała. W czasach, w których zaczynałam, nawet moje godzenie się na rozmowy w telewizji śniadaniowej było oburzające. Pamiętam, że udzieliłam wywiadu do „Playboya”, zawsze to pismo lubiłam i szanowałam. Na Zachodzie, w Stanach Zjednoczonych, było to wówczas jedno z niewielu czasopism, w których autorzy mogli publikować swoje opowiadania. Udzieliłam wywiadu o mojej twórczości, fabułach, postrzeganiu świata i spotkałam się z olbrzymią falą hejtu, bo według wielu osób pozwoliłam potraktować się przedmiotowo, co nie przystoi pisarce. Nigdy tego nie rozumiałam! Takie sytuacje zdarzają się cały czas, ale podejście się zmienia. Teraz spotykamy się online, rzeczywistość nas zaskakuje, a świat zmienia się i będzie się zmieniał nadal. Dlatego wydaje mi się, że jedyna słuszna droga to robienie tego, w co się wierzy, co chce się robić. Po latach zauważyłam, że im

bardziej nas krytykują, tym bardziej powinniśmy się cieszyć.

Dlaczego?

– Bo to oznacza, że zostaliśmy zauważeni, że pobudziliśmy ludzkie emocje. Oczywiście nie wolno przy tym zapominać o pokorze. Kiedy odradzał się polski kryminał, kiedy wchodziliśmy na rynek, a w Krakowie odbywał się Międzynarodowy Festiwal Kryminału, który teraz zagościł we Wrocławiu, polskich autorów można było policzyć na palcach obu rąk. Takich, którzy wydawali książki,

a ludzie je czytali. Dzisiaj to tysiące tytułów rocznie. Ten rozwój jest nadzwyczajny i piękny, każdy nowy autor zmienia i kształtuje gatunek. Teraz sztuką jest przetwarzanie na tym rynku. Umiejętność zaskakiwania czytelnika, proponowania mu nowych, interesujących rzeczy, mimo ogromnej konkurencji. Jestem bardzo zadowolona, że czytelnicy o mnie nie zapomnieli.

Jak by mogli, skoro tak długo dzierży pani palmę pierwszeństwa!

– Wywyższanie się byłoby egotycznym myśleniem osoby, która nie rozumie rzeczywistości. Moje książki są grube, wielowątkowe, co od początku budziło kontrowersje, bo taki styl wymaga od czytelnika dużej uwagi. Dzisiaj słyszę, że jest to wyrafinowany zapis, ale kiedy zaczynałam, moje powieści uchodziły za popularne i rozrywkowe. Paradoksalnie elementy szczególnie krytykowane przez polskich odbiorców – obyczajowość, dokładne opisy łódzkich uliczek, portretowanie miasta – stanowiły podstawę mojego zagranicznego sukcesu. Lokalność i psychologia w moich książkach, konteksty, wielowymiarowość, m.in. w postaci żywiołów, to wszystko bardzo się podobało. Jeśli autor wierzy w swoje dzieło, pracę stara się wykonywać sumiennie, a woda sodowa nie uderza do głowy, to może się udać. Ja nieustannie czuję na plecach oddech nowych, genialnych, oryginalnych autorów, którzy lepiej niż ja rozumieją współczesne media społecznościowe, są w stanie przekazać coś prostszym językiem, dotrzeć do młodego czytelnika. Cały czas mam wrażenie, jakbym była na wojnie. I to poczucie każe mi być czujną, nie zasypiać, działać, rozglądać się. I za to jestem wdzięczna!

Artur Zaborski